Tygodnik ilustrowany
Famulus

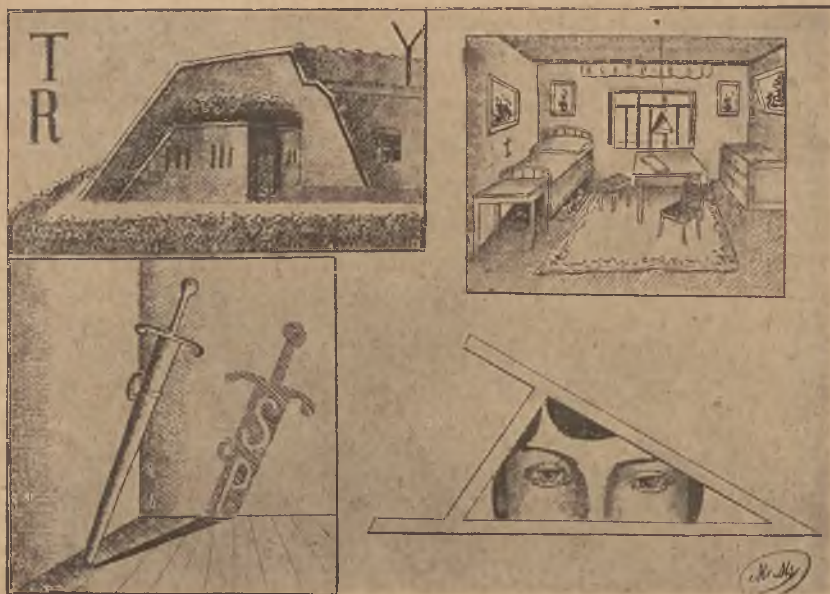
3

N-8

3 — 10 kwietnia 1927 r.

30 gr

REBUS



ROZWIĄZANIA

Rebusa: „Rządzimy światem a nami kobiety".

Szarady: „Kapusta".

Za prawidłowe rozwiązania rozlosowano nast. nagrody:

1) S. Edelstein — pren. kwart. i 1 książka.

2) J. Sawicka — pren. mies. i 1 książka.

3, 4, 5) C. Kozłowski, S. i M. Mirecka, D. Werpachowski — po 1 książce.

Z redakcyjnego biurka

Iwińskiej. Wysłaliśmy za zaliczeniem.

D. Duńskiemu. Dziękujemy, lecz nie skorzystamy.

A. Krzemińskiej. Przesłany numer został nam zwrócony przez pocztę. Czy aby nie mylny adres? Prosimy powtórzyć.

D-wi Połtowiczowi. Wysłaliśmy, dziękujemy jednocześnie za miłe usiłowania rozpowszechnienia naszego wydawnictwa na prowincji.

Hance. Niestety, nie posiadamy. Możemy najwyżej pośredniczyć Pani przy odnalezieniu odpowiednich materjałów.

Przybylskiemu. Sprawa należy do kompetencji Ministerstwa Oświaty. Interwenjować może kurator okręgowy, jako bezpośrednia instancja. Nie przedstawiamy sobie innego załatwienia sprawy.

Iwanickiemu. Grupa parlamentarna uczyniła, zdaniem naszem, bardzo wiele w dziedzinie wzajemnej propagandy.

Niucie. Cieszy nas, żeśmy trafili do gustu Pani. Będziemy zmieniać nie tylko barwy, ale również i samą kompozycję.

S. Sokołowskiemu. 1) Niezbędnem jest zapisanie się do związku księgarzy, do którego należy być przedstawionym przez 2 członków. 2) Cenzus 4 — 6 klas. 3) Dom Książki Polskiej jest istotnie bardzo ruchliwą instytucją. 4) Rabat normalny wynosi 25 — 30%.

5) Do uznania. 6) 10 000 zł. Pozatem służylibyśmy obszerniejszemi informacjami, gdyby Pan, będąc w Warszawie, zechciał zaszczycić nas swoją wizytą w redakcji.

Filipczakowi. Adres Ozimińskiego — Marjensztadt 20.

Strzeleckiemu. Dlaczego nazywać tak pompatycznie? Cały dział polega na oddaniu do druku nadsyłanych pomysłów.



Wśród książek

Tomasz Mann: „Pan i Pies" przekł. S. Alberti. Nakł. Bibl. Dzieł Wyborowych, Warszawa 1927.

Czy zwierzęta mają duszę? Tak czy owak, a ludzie potrafią z niemi obcować, widząc w nich najwierniejszych przyjaciół, milszych częstokroć od ludzi. Takim psem jest wyżeł Banszan, wierny i nieodstępny towarzysz znakomitego pisarza niemieckiego. Z nim wędruje po polach, lasach i zaroślach rzecznych, obserwując każdy ruch psa i postępek, czy to gdy „wystawia" zająca lub kuropatwę, czy też gdy swawolnie tropi niemyśliwskie stworzenia, jak kreta lub mewę. Człowiek i pies zżyci są harmonją swobody, którą dają szerokie rozłogi lub tajemnie szumiące drzewa i trawy. Spokój w obcowaniu z naturą i prymitywnem a beztroskiem zwierzęciem — oto kwintesencja szczęścia, którą po mistrzowsku maluje nam Mann. Książka warta przeczytania, tem bardziej, że wyszła w doskonałym przekładzie.

•

Edward Krasiński: „Obrazki łowieckie". Nakł. F. Hoesicka.

Jeszcze jedna książka dla myśliwych, której tym razem autor jest nie tyle pisarzem, ile zapalonym i wytrawnym nemrodem. Gdzie nie bywał? na jakich miotach, w jakich haszczach, na jakich wertepach górskich? Przemożna matka —natura przemówiła do człowieka, amatora-sportsmena, dając mu dar słowa do barwnego i żywego opisania tych przygód myśliwskich, które i „zakamieniały" mieszczuch z przyjemnością przeczyta.

•

„Ponure igraszki", nowy tom opowiadań Kornela Makuszyńskiego, w tych dniach ukażą się na rynku.

Opłata pocztowa ryczałtem Warszawa, 3-10 kwietnia 1927 r. Cena 30 gr.

FAMULUS

Rok I. Warszawa - Kraków - Lwów - Poznań - Wilno - Łódź - Gdańsk Nr. 8.

Kartki z raptularza

KTÓŻ Z NAS I KIEDY MUSI BYĆ PODBIPIĘTĄ?... Zawiść i zazdrość, te szpetne kumy, goszczące w charakterach ludzkich, ileż to razy i komu nie dokuczyły w życiu?

Każde poczynanie, każda praca, choćby najbardziej szlachetna, ofiarna i słuszna, zwłaszcza o ile prowadzi do pomyślnego rezultatu, do takiego piekielnego tańca pobudza obie kumy, że aż dławią się z braku powietrza i zataczają, jak pijane.

Kaszlą więc, chrypią i jadem plują, a jeśli tylko okazja się nadarzy, to choćby w łydkę ukąszą i mniejszą lub większą podłostkę zorganizują.

Tak to zwykle bywa.

I dlatego w każdem środowisku ten, co wchodzi z jakimś dobrym czynem, a szczególnie publicznym, musi pamiętać, iż wrogów i fałszywych przyjaciół zjedna sobie legjon.

I stanie się Podbipiętą, co to sam jeden bronić się będzie przeciwko wszystkim, a kiedy zmoże jednego wroga, to czterech nowych stanie na jego miejsce.

I cóż ma robić?

Nie opuszczać rąk, gdyż Podbipięta namęczył się, co prawda, ale zwyciężył...

Z MOJEJ „KARJERY"... Już dziesiątą z rzędu „karjerę" literacką przesuwamy na łamach „Famulusa".

Opowiadają nam o sobie czołowi przedstawiciele polskiego pióra, którym niejeden zawdzięcza chwile podniosłych wzruszeń i wrażeń, często niezatartych i niezapomnianych. Bo słowo drukowane ma do siebie to, że niewiadomo kiedy, gdzie i komu sięgnie do najgłębszych zakamarków duszy i wyrwie z codziennej pleśni i szarzyzny, rzucając w słońce.

Stąd wdzięczność dla twórców, cześć i szacunek. A jednak myślicie, że który z nich w Polsce zrobił „karjerę" w prawdziwem tego słowa znaczeniu, że doczekał się fortuny, jak to się zdarza nieraz wielkim i poczytnym pisarzom w krajach innych, że książki jego rozeszły się w setkach tysięcy egzemplarzy, zabezpieczając mu byt i swobodę twórczą.

Nie, takiego jeszcze wypadku nie było.

Na państwo, liczące 35 miljonów ludności, książka, rozchodząca się w kilku tysiącach egzemplarzach, to rzadkość, bo książka, pismo, czy gazeta, to wciąż jeszcze luksus, bo wydanie na nią choćby groszy tylko, to rozrzutność, bo potrzeba czytania jest tak nikła że aż wstyd!

Dlatego nasi twórcy biedę klepią naogół, i rzadko który może się z korzyścią i dla siebie i dla talentu i dla chwały literatury ojczystej wyłącznie poświęcić swej pracy, szukając innych zajęć dla opędzenia skromnych potrzeb codziennych.

PLWAJĄ NA SIEBIE I ŻRĄ JEDNI DRUGICH... Bolesne słowa Mickiewicza, które napisał swego czasu na emigracji w Paryżu, można cytować znowu.

Historja, ku naszemu utrapieniu, powtarza się stale Niewieleśmy się nauczyli...

Oto zjazd Polaków, zamieszkałych poza krajem na obczyźnie, który miał się odbyć w stolicy i o którym pisaliśmy już w kartkach z raptularza, podkreślając jego znaczenie, prawdopodobnie nie odbędzie się.

A dlaczego?

Bo „plwać na siebie i żreć jedni drugich" już rozpoczęli, zanim się zjechać zdołali. Kijami i maczugami okładają się nawzajem w swoich pismach i gazetach wydawanych na obczyźnie.

Wszędzie na świecie są partje i stronnictwa, ale stąd nie wynika jeszcze partyjność i stronniczość, zagłuszająca zdrowy rozsądek i przekształcająca synów jednej matki-ziemi we wrogów, gotowych łamać sobie kości To nasza przywara i nasze nieszczęście.

Nic dziwnego, iż, jak głoszą wieści, podobno słynny wieszatiel-Murawjew, dręczony wizją tysięcy szubienic, przed śmiercią zawołał:

— I pocóż było tyle szubienic? Wystarczyłaby jedna! Polacy powywieszaliby się sami...

Wstyd! Hańba!

Czy naprawdę niema tej mocy któraby wydarła z serc naszych tę kołowaciznę wzajemnych uraz, nienawiści i zapamiętania?



Famulus.

Z mojej karjery... Wywiad X

KARIN MICHAELIS

Kocham bez zastrzeżeń na świecie: Żydów, Niemców i zwierzęta — są to słowa znanej duńskiej powieściopisarki pani Karin Michaelis, skierowane do interwievera „Naszego Przeglądu“.

Słowa nie bardzo obiecujące dla kogoś, kto nie jest Żydem, ani Niemcem, ani zwierzakiem, to też z uczuciem pewnej obawy i lęku wchodzę do pokoju Nr. 140, w hotelu Europejskim, zajmowanego przez popularną autorkę „Wieku niebezpiecznego“.

Pani Karin Michaelis, mniej znana pod nazwiskiem swego drugiego męża p. Stangelanga, przyjmuje mnie jednak dość przychylnie (jak na nie-Niemca, nie-Żyda i nie-czworonoga) i pochwili świetnym stylem zaczyna swe opowiadanie, przetykane dowcipami i metonimjami, nie nadającemi się do utrwalenia na piśmie.

— Nie wiedziałam nawet, co robię. Trzymając ołówek w ręku, pisałam podświadomie, częstokroć rozmawiając z obecnymi o rzeczach, nie mających nic wspólnego z tem, o czem pisałam. Nie spostrzegłam prawie, jak z pod mego ołówka wychodziła zapisana kartka papieru, czasami o treści, nie mającej początku ani końca. Pisanie czegoś z zastanowieniem się i przemyśleniem narzucała mi choroba, podczas której przez tydzień musiałam przebywać w łóżku. Było to w rodzinnem mojem miasteczku Rando, gdy kończyłam lat 18. Leżąc w łóżku, bardzo się nudziłam, więc dla zabicia czasu napisałam powieść, którą po tygodniu zakończyłam i odesłałam do pewnego wydawcy. Wydawca odesłał mi pakiet z rękopisami, z adnotacją „do druku jeszcze nie dojrzałe“.

Rękopis ten rzuciłam do kominka, gdzie spłonął.

Ponownie zaczęłam pisać dopiero po wyjściu zamąż za Sophusa Michaelis. W roku 1895 Sophus był redaktorem kopenhaskiego tygodnika „Thiedenskrav“, poświęconego literaturze, sztuce, teatrowi, i on to



Karin Michaelis

Znakomita powieściopisarka duńska bawi w Warszawie, gościnnie podejmowana przez Polski Klub Literacki. Była owacyjnie witana na dworcu w dniu swego przyjazdu. Popularną autorkę „Wieku niebezpiecznego“ odwiedził delegat naszej redakcji, wypytując o dane, dotyczące jej literackiej karjery.

namówił mnie do pisania opowiadań, zapewniając, że zamieszczać je będzie w tygodniku. Propozycja ta przypadła mi do gustu, i, ponownie chwyciwszy za pióro, poczęłam pisać nowele, które ukazywały się w druku raz na tydzień.

Krytyka przyjęła nowelki te goręcej, niż nieżyczliwie.

Po wydrukowaniu całej serji nowelek, z których pierwszą była „Dziki ptak“, opracowana wraz z moim mężem, postanowiłam wydać je w jednym zbiorku. Wydawcy, którym nowelki te przesyłałam, odpowiedzieli, jak gdyby się namówili, że nowelki są straszne, ale mąż mój wciąż dopingował mnie ustawicznie — jeszcze jedną, jeszcze kilka.

W kilka miesięcy później napisałam powieść „Sędzia“, która tylko dzięki mężowi mojemu uniknęła ognia, lecz na to dzieło znalazł się już wydawca. Drugą, dłuższą pracą moją była powieść, „Dziecko“, smutne opowiadanie o dziecku, które musi umrzeć.

„Dziecko“ trafiło do ręki Peter Nansenowi, najznakomitszemu powieściopisarzowi duńskiemu, i ten ocenił je przychylnie. Następnie z wydawaniem już poszło mi łatwiej. Wydawcy się znaleźli we wszystkich państwach. W Niemczech „Niebezpieczny wiek kobiety“ do roku 1914 wydany był w 375.000 egzemplarzach.

Musiałam stoczyć prawną walkę o przynależny mi procent, na szczęście, zwycięską. „Niebezpieczny wiek“ doczekał się tłumaczeń na 14 języków.

— Z tego wynika, że pisanie idzie pani łatwo?

— Tak, nie piszę żadnych brulionów, odrazu na czysto. Rękopisów nie przerabiam ani nie skracam. Nad pisaniem jednak nie siedzę regularnie. Czasami, jak ogarnie mnie lenistwo, to przez kilka miesięcy nie piszę ani słowa, ale za to, jak weźmie mnie chęć pisania, to pióro wypszczam z ręki tylko do snu i na czas posiłków.

—A można wiedzieć, nad czem pani pracuje obecnie?

— Przygotowuję obecnie książkę o małżeństwie. Nie będzie to powieść, ale jak gdyby zbiór przepisów i recept dla małżeństwa, a kobiet przedewszystkiem — zakończyła temi słowy rozmowę ze mną największa tegoczesna znawczyni psychologji kobiecej.

I v. Dog.

W serji wywiadów p. t. „Z mojej karjery“ zabrali głos dotąd: Zygmunt Bartkiewicz, Gustaw Daniłowski, Wacław Grubiński, Zofja Nałkowska, Stanisław Przybyszewski, Zuzanna Rabska, Marja Rodziewiczówna, Wacław Sieroszewski, Andrzej Strug.



Podczas słynnych kontraktów w Dubnie na Wołyniu w drugiej połowie XVIII w. sławny podówczas aktor Owsiński grał tytułową rolę w dramacie p. t. „Bewerkio“. Gra znakomitego aktora wzbudzała podziw i uznanie wśród licznie zgromadzonej publiczności. Na sali znajdował się pewien bogaty szlachcic, niejaki cześnik Winnicki, którego tak wzruszył Owsiński swą grą, że rzewnie płakał nad niedolą biednego Bewerkia, słynnego gracza, którego namiętność do gry doprowadziła do katastrofy. W chwili, gdy miał być Bewarkio wraz z całą rodziną uwięziony, wówczas wzruszony do głębi serca nieszczęściem Bewerkia i jego niewinnej rodziny, zerwał się cześnik z miejsca i zawołał:

— Mości panowie! Wstrzymajcie się, oto jest połowa sumy przegranej przez p. Bewerkia, drugą natychmiast przywiozę i zapłacę wszystko.

Sala zawrzała huraganem oklasków i okrzyków na cześć gry Owsińskiego, który swą wielką a tak naturalną grą wywołał taki efekt u naiwnego, ale z kośćmi poczciwego szlachcica. Rozentuzjazmowana publiczność podniosła na rękach do góry cześnika, wiwatując na jego i Owińskiego cześć.

Cześnik przekonawszy się, że to tylko „udane“, żałował i prosił Owsińskiego, aby na pamiątkę przyjął przynajmniej 100 zł. czerw. jako nagrodę za tak znakomitą grę.

W początkach XIX w. zjawił się u paryskiego Rotszylda markiz de P., reemigrant z Anglji, który sądził, że swojem zjawieniem olśni znanego już wówczas bankiera. Rotszyld, bardzo w danej chwili zajęty, rzekł krótko:

— Za chwilę będę do pana dyspozycji. Weź pan krzesło i rozgość się.

Markiz, urażony tem przyjęciem, zmierzył pogardliwym wzrokiem finansistę i, nie siadając, ozwał się dumnie:

— Mam wrażenie, iż pan nie wiesz, z kim masz do czynienia. Jestem markizem de P..., kawalerem de Saint Louis, baronem du Saint Empire, szambelanem Jego...

Rotszyld mu nie przerywał i wysłuchał spokojnie nieskończenie długiej litanji tytułów, poczem rzekł łagodnie:

— Bardzo pięknie, weź pan tedy dwa krzesła.

W dość orginalny sposób ożenił się niejaki kapitan artylerji Orlikowski za czasów Królestwa Kongresowego. Przyjaciel jego, pułkownik Sierzputowski, późniejszy generał w armji rosyjskiej starał się o bogatą i piękną pannę Rokicką, otrzymał na swój związek pozwolenie rodziców panny, bawiącej chwilowo u ciotki swej w Warszawie. A że pułkownik, z powodu zajęć służbowych, nie mógł wyjechać z Warszawy, więc uprosił swego przyjaciela, kapitana Orlikowskiego, aby ten zaopatrzony w list ojca panny, udał się do Warszawy i oświadczył się w imieniu pułkownika.

Kapitan przyjechawszy do Warszawy spełnił akuratnie polecenie, wręczając pannie Rokickiej również list ojca, na co mu ona z uśmiechem odpowiedziała:

— Mój ojciec napisał kwitek na wydanie córki zamąż, jak do arendarza na jaki produkt. P. Sierzputowski nigdy mi nawet przez myśl nie przeszedł.

— Ale pani — odezwał się Orlikowski, — pułkownik nie jest partją do odrzucenia.

— Może dla kogo, ale nie dla mnie— rzecze panna.

— Więc Pani nie myśli iść za mąż?

— Dlaczego? Za pana naprzykład chętniebym wyszła.

— Pani żartuje ze mnie, — odrzekł zmieszany kapitan.

— Nie, nie żartuję i oto wobec mojej ciotki masz pan moją rękę.

I rzeczywiście, w kilka miesięcy, panna Rokicka poślubiła kapitana Orlikowskiego i stało się zadość bajeczce Krasickiego:

Jakoż przyjaciel pomódz się nie lenił,
Poszedł, poznać Irenę i sam się ożenił

Skąpe były rekwizyty teatralne na początku ubiegłego stulecia, kiedy to jeden z najbardziej zasłużonych pionierów polskiej sceny, Seweryn Malinowski, w ten sposób opisywał blamaż, jakiego doznał na przedstawieniu w Dubnie:

— Zaczynam scenę tragiczną „kwestyą“, a mówiąc o wschodzącem słońcu, obracam wzrok za kulisy, lecz zamiast słońca spostrzegam świeczkę łojową, od której już słup tleć zaczyna: rzucam na obecnych za kulisami groźne spojrzenia, nikt ani gromów z mych oczu wypadających nie widzi, ani świeczki, ani tlejącego słupa; niewiele myśląc, idę, gaszę świecę w oczach publiczności dmuchnięciem, a tlejący słup garścią, wracam na scenę z rękawem zasmolonym i zaczynam decapo...

Za czasów Ludwika XVI podczas przyjęcia na dworze księżny Orleańskiej, na którem znajdowała się między innymi Izabela z Flemingów ks. Czartoryska, małżonka ks. generała ziem podolskich, ktoś z towarzystwa zaczął opowiadać istne cuda o dziwnym kraju na północy: Li... Li... Lithuanie.

Ponoć w kraju tym ludzie mieszkają przez cały rok w jamach śniegowych a dzieci zjada codzień żywcem straszny, czyhający u wyjścia niedźwiedź i inne tym podobne androny. Ks. Czartoryska wybucha homerycznym śmiechem i oświadcza, że ona właśnie urodziła się w tym dzikim kraju i... jakoś nie zjadł jej żaden niedźwiedź. Ogólna konsternacja i współczucie.

Wkrótce potem towarzystwo zasiada do gry. Jakaś niebywale dumna i piękna hrabianka zwraca się do ks. Czartoryskiej:

— Tylko niech księżna unika gry z moją matką, straszliwie oszukuje.

Na to ks. Czartoryska:

— Ach tak!... a wie pani, że w tym kraju, w którym niedźwiedzie pożerają dzieci, żadna córka nie ośmieliłaby się powiedzieć tego o matce swojej!

Przymówki na kwiecień

Suchy marzec, maj niechłodny— kwiecień mokry, rok niegłodny.

*

Na kwiecień, lada z czego wianek spleciem.

*

Przyjdzie kwiecień, ostatki z gumna wymieciem.

*

Po świętym Franciszku, pasą na owsisku (gdy łagodna wiosna).

ST. JERWICZ

(Dokończenie)



CZERWONE RÓŻE

Podniósł głowę i wpił w nią oczy. Twarze ich były tak blisko siebie, że Ziuta widziała w jego rozszerzonej źrenicy odbicie swej małej twarzyczki. Starała się uśmiechnąć, nie mrużąc ani na chwilę oczu. Wtedy on powoli opuścił powieki i rzekł ciężko:

— Poszukiwaczka wrażeń... Oczy ma pani silne. Pantery i inne dzikie bestje, do których się wybieram, nie wytrzymują wzroku ludzkiego. Pani wie, że jestem hypnotyzerem?

— Mówi pan...

— Mówiłem, zdaje się, że jestem fotografem. Nie pamiętam zresztą. Właściwie jestem jednak hypnotyzerem i magikiem. Mam nawet tutaj — wskazał na kieszeń — mały przyrządzik magiczny o cudnych właściwościach. Otrzymałem go w Montreux od pewnej...

— W tej kieszeni ma pan napewno rewolwer — wypaliła bez zastanowienia Ziuta.

— Zatem i pani posiada dar jasnowidzenia? Tak. Śliczny, mały rewolwerek. Pokazać?

— Proszę — odparła po krótkiej chwili wahania.

Rewolwer był pieścidełkiem, tak maleńkiem, że cały mieścił się w dłoni.

— Ta zabawka zabija. Naprawdę. Coby pani zrobiła, gdybym sobie teraz palnął w łeb?

— Byłoby mi bardzo nieprzyjemnie — rzuciła bez namysłu.

Roześmiał się pierwszy raz serdecznie, bez cienia szyderstwa.

— Kapitalne! Nieprzyjemnieby pani było? C'est le mot: nieprzyjemnie! Coraz bardziej żałuję, że poznaliśmy się dopiero dzisiaj. Pozostała nam godzina i pięć minut. To mało.

Zegarek, na który spoglądał, zastanowił Ziutę. Był staromodny, wielki, ciężko cyzelowany.

— Zegarek mego dziadka, — rzekł, jakby czytając jej myśli. — Był ze mną wszędzie. Niech go pani weźmie do ręki. Ciężki, prawda? Zawsze i wszędzie był ze mną.

Pod dotknięciem zimnego złota, czy też wrażeniem jego słów, rozpostarły się palce Ziuty. Jedna z kopert zegarka, uderzając o podłogę, odskoczyła. Schylił się po niego prędko, ale Ziuta już zauważyła na wewnętrznej stronie koperty małą minjaturkę.

— Czyj to portrecik? — spytała ciekawie, gdy wsuwał zegarek do kieszeni.

— Niema żadnego portretu. Jest obrazek. Nieco sprośny, jak to dawniej lubiono...

Bawił się rewolwerkiem. Nagle otworzył okno i cisnął go w przestworza.

— Skończone — rzekł głucho, przecierając ręką czoło.

— Dlaczego pan to zrobił? — spytała zaskoczona.

— Skończyłem. Co pewien czas się z czemś w życiu kończy. Chodzi tylko o szybką decyzję. Odrzucać trzeba pokusy i nie chwiać się nigdy... Opowiem coś: byłem raz na tonącym okręcie. Burza zerwała szalupy. Została jedna, najmniejsza. Wtedy kapitan własnoręcznie przeciął podtrzymujące ją sznury i puścił na wodę. Wiedział, że jeżeli zginiemy, to wszyscy...

— Niesłusznie postąpił ten kapitan, wszak kilka osób mogło uniknąć śmierci...

— Uniknęliśmy jej wszyscy. Proszę się nie martwić... Ale on postąpił słusznie. Na tę małą łupinę za dużo było tonących. Przeładowana, poszłaby na dno... Słyszała pani coś o sile ciążenia? Przy zbyt wielkim balaście taka łódka, lub rewolwer... Ale mówiliśmy o...?

— Mówiliśmy o tonącym statku. Otóż uważam, że każde życie ratować warto, nawet jedno...

— Warto? Jedno życie? Choćby takie milutkie, różowe życie o złotych włosach i zastraszonych kocich oczach, warto? I takie głupiutkie, czerwone usteczka, co się śmieją, choć krzyczeć chciałyby ze strachu, warto?

Silne ramiona przygarnęły Ziutę. Zwinęła się cała w kłębek, ale nie odepchnęła go. Gorące usta błądziły po jej szyi i oczach. Aż znalazły jej wargi i do nich przylgnęły pieszczotą, w której zapragnęły się stopić. Uścisk jego rąk, oplatających jej szyję stawał się kleszczowy. Nie czując bólu, zaczęła popadać w bezwolne odrętwienie. Resztką świadomości szarpnęła się i osunęła głowę na jego piersi. Serce mu łomotało.

— Czy to serce tak wali, czy ten stary zegarek? — spytała nagle bardzo głośno.

Odrzucił ją szorstko od siebie. Po długich minutach milczenia, rzekł twardo:

— Nie, to nie serce. To stary zegarek. On nietylko wali, ale ciągle naprzód idzie... Tak. A w tym zegarku... Pani pytała, czyj portret on kryje? Teraz powiem. Portret jedynej kobiety, którą kochałem w życiu. Może ją pani zobaczyć.

Ziuta, jeszcze rozedrgana pocałunkami, z trudem stłumiła łzy obrazy i udając obojętność, drżącemi rękami poprawiała włosy. Nie odwróciła się na dźwięk jego głosu:

— Proszę patrzeć. To dla mnie nic nowego, że kobiety nie lubią słuchać o jedynej miłości mężczyzny, o ile nie mogą w siebie wmówić, że są jej objektem. Ale proszę zobaczyć.

Ziuta patrzała uporczywie w białą ścianę za oknem. Wzruszył ramionami.

— Nie chce pani? No, to za chwilę pani spojrzy. Nikt go dotychczas nie widział. Teraz już pani chce zobaczyć? Tem oświadczeniem przyznaję pani przecież wyjątkową rolę w mem życiu? Może naprawdę jest to pani przeznaczenie. A to wszak przyjemnie? Każda z was chce być inną od wszystkich, wyższą, odrębną? Milszych słów spodziewałaś się, mała kobietko, w takiej chwili?

Po słodyczy twych ust poznałem jak dużo mi dać możesz... Ale ja, mam tylko jeden dar. Mógłbym ci ofiarować moją ostatnią miłość.

— Ostatnią miłość przed wyjazdem do krainy dzikich zwierząt, czy też ludożerców? Ale uprzedzam pana że murzynki są bardzo tłuste — cisnęła opryskliwie, i jakby nie widząc bolesnego skurczu jego ust, roześmiała się.

— Nie zastanawiałem się nad budową murzynek. Muszę jednak zaznaczyć, że czasami lepiej przemilczeć, niż powiedzieć jakąś podłostkę. Teraz proszę nic nie mówić, słuchać i zamknąć oczy. Widzi pani? Szałas z liści pod czarnem, afrykańskiem niebem. Nas tylko dwoje. Nagle lekki trzask gałęzi. To skrada się lew. Tulę małą, o tak jak teraz... Myśli, że jest bezpieczna, lecz serce, które wie często więcej, niż głowa, trzepoce lękiem. Bezsłysznie rozchylają się konary. Gorzeją ślepia, zieje żarem straszna puszcza, lśnią kły. A potem już tylko chrzęst gruchotanych kości... mdławy, słodki zapach krwi...

Ziuta krzyknęła przeraźliwie i wydarła się z jego objęcia. Nie do wytrzymania był ten nadłamany, zduszony głos. Opanował się szybko. Wyjął zegarek.

— Zlękła się? Za trzydzieści pięć minut się to skończy. A tymczasem proszę zobaczyć.

Jak posłuszne dziecko spojrzała Ziuta, na podsunięty jej, portrecik pięknej kobiety.

— Jedyna pana miłość?

— Tak. Moja matka...

— Bardzo piękna — rzekła trochę zawstydzona. — Szkoda, że minjaturka pęknięta w środku.

— To zrobił mój ojciec, wtedy, gdy go opuściła. Chciał zabić wspomnienie. Często dla zabicia wspomnienia nieszczęścia, którego nic zgładzić nie może, sieje się zniszczenie. Może to ucieczka przed własnem sumieniem. Uciekając przed niem często tak daleko się zabrnie, że niema ani powrotu, ani drogi naprzód. Mój ojciec rozłupał tylko tę minjaturkę, a ja... Szukałem jej po całym świecie. Szukałem w kobietach młodych i starych, pięknych i brzydkich. W żadnej nic z niej nic znalazłem. Już się pani nie gniewa, że całując jej śliczne usta, o tamtej myślałem? Pięć lat miałem, gdy odeszła...

Ziuta była cokolwiek wzruszona. Poprzednio podobał jej się jednak więcej. Było w nim wtedy coś drażniącego, jak w powieściach Poego lub Eversa, czytanych o północy.

— Niech się pani nie sili na roztkliwianie nademną — zadrwił, odgadując jej uczucia — bo to wcale nie jest moja matka. Kupiłem ten zegarek u handlarza starożytności na placu Voltaire w Paryżu. Moja matka była praczką. Praczką, uwiedzioną przez hrabiego, a może tylko przez jego lokaja. Mówią wprawdzie, że ręce mam arystokratyczne. Czy prawda?

— Ręka jest bez zarzutu, choć zbyt wypieszczona, jak na syna praczki — zadrwiła.

— Bez zarzutu... Raz mając siedem lat, rozbiłem kosztowny wazon w salonie pewnego pana, który zawołał oburzony: „Odrąbałbym ręce temu smarkaczowi"..

— Dobrze, że tego nie zrobił. Szkodaby ich było.

— Pani myśli? Nie, nie szkoda... Dojeżdżamy już piękna pani.

Rzeczywiście, mgły za oknem się przerzedziły, gdzieś w dali złociło się słońce.

— Już? — rzekła z żalem. Czy pan zatrzyma się w Gdańsku. Możebym mogła...

— Pani chce podarować mi tę noc?

— Tego nie powiedziałam. Zatrzymałabym się parę godzin w Zoppot. Spotkalibyśmy się...

— Sądzi pani, że lwy w Abisynji mogą na mnie jeszcze poczekać? I tak zdążą mnie schrupać... A życie bywa czasami piękne... bardzo piękne... Gdy ma takie włosy i oczy i te dołeczki na różnych policzkach.. gdy...

Przylgnęły do warg Ziuty jego usta. I na chwilę zamknął się dla niej w tych ustach cały świat. Nie czuła, że kołowym ruchem opada maszyna, nie widziała i widzieć nie chciała, że coraz bliższa jest ziemia. Jednak czując, że aeroplan wzbija się znowu w górę, spytała trwożnie, ciągnąc go za rękaw:

— Co to znaczy? Dlaczego się tak kręcimy w kółko na miejscu?

— Kręcimy się? Mała poszukiwaczka wrażeń i ja... kręcimy się — powtarzał nieprzytomnie, ale siłą strząsając z siebie oszołomione, dokończył spokojnie. — Pewnie pilot zaczął źle lądować. To bywa. Czas się pożegnać. Tedy o dziesiątej wieczorem będę na pomoście w Zoppot. Jeżeli zaś się nie stawię, to wtedy proszę zrozumieć, że przyjść nie mogłem. I że nie znajdzie mnie pani nigdy, jak ja nie znajdę już mego rewolwerka ani tego zegarka, który pani musi wziąć odemnie.

— Zegarka? Czy pan oszalał? Nie wezmę go za nic w świecie. To warjactwo!

Musi pani. Jako depozyt. Zgłoszę się po niego przecież. A jeżeli nie przyjdę, znaczyć to będzie, że nie jest mi więcej potrzebny.

Mimo jej gwałtownego protestu, wsunął zegarek do safjanowej torebki. I prędko rzekł:

— Bo to jednak moja matka. Teraz mówię prawdę. Dziękuję i... może dowidzenia...

Nizko skłoniwszy głowę przywarł palącym, długim pocałunkiem do jej ręki.

— Proszę wybaczyć, że się panią w Langfuhrze nie zajmę — rzucił już zimno. Śpieszno mi. Panią oczekują?

— Tak sądzę. Brat i bratowa. Ale z tym zegarkiem... zła jestem, to nie ma sensu,,,

— Będzie miało. Sens się zjawi razem z sensacją.

Bratowa Ziuty, pani Wandeczka, dąsała się. W Gdyni czekano przyjazdu Ziuty z upragnieniem, a ta uparła się jechać przedtem do Zoppot. Na domiar złego, sprawę Ziuty poparł lekkomyślnie pan Stach, rad, że „skoczy" na godzinkę do kasyna.

Godziny wlokły się, jak ślimaki. Ziuta, wpadając z nadzwyczajnego podniecenia w zupełną apatję, zadziwiała swem zachowaniem nawet brata, przyzwyczajonego do jej wybryków. Ale, gdy mimo lekko mżącego deszczu, zapragnęła spaceru po moście, stracił Stach cierpliwość i uciekł do sali gry, oddając panią Wandeczkę na pastwę rozkapryszonej siostry.

Na pomoście było prawie pusto. Zrezygnowana pani Wandeczka, omijając kałużę, potulnie bawiła Ziutę jakiemiś plotkami, których ta nie słuchała. Ściskając konwulsyjnie torebkę z zegarkiem, przemyśliwała właśnie nad sposobem pozbycia się bratowej.

— Czy już późno? — spytała, choć wiedziała, że jeszcze zawcześnie.

Nie zwróciła uwagi na odpowiedź, ale uszu jej dobiegł odgłos szybkich, energicznych kroków. Puściła ramię

Dalszy ciąg na str. 13.

TADEUSZ PIOTROWSKI

Chochliki i figle na scenie

Przypadki zdarzające się aktorom

W sztuce teatralnej każdy najmniejszy szczegół, czy to w dekoracji, czy też w grze aktora musi być zgóry ustalony, by nic w czasie przedstawienia nie naruszyło harmonji.

Taka to już sztuka teatralna, która wymaga niezwykłej precyzji i dokładności.



Pomimo jednak mozolnej pracy reżysera, pomimo jaknajwiększego zmechanizowania gry aktorów na licznych próbach, poprzedzających przedstawienia, czasem jakiś złośliwy chochlik cały ten idealny porządek burzy. Autor traci pamięć, czy też kurtyna się nie podnosi lub za wcześnie opada, mebel nie na miejscu — czar pryska, publiczność pokłada się ze śmiechu w najtragiczniejszych momentach lub sykaniami manifestuje niezadowolenie.

Kurtyna podniesiona, sztuka rozpoczęta, aktorzy na scenie wymienili cały szereg replik, kolej na głównego bohatera, którego poza nawet wskazuje, że ma przemówić. Mrożące milczenie... Zdetonowanie aktora udziela się widowni. Zapomniał roli. Zimna krew jedynie go ocali, jeśli byle co zacznie mówić.

Tak było na przedstawieniu Otella w Monte Carlo, gdy słynny Szalapin formalnie osłupiał, słysząc, jak partnerka podaje tekst arji bez najmniejszego sensu: ratowała się. Publiczność nie zauważyła chwilowego zamieszania na scenie.

Nie zawsze jednak można się przemóc. Jedna z najsławniejszych artystek ubiegłego wieku, Falcon, nie znalazłszy wyjścia z podobnej sytuacji, raz na zawsze porzuciła scenę.

Nie zawsze również można mówić, co tylko ślina przyniesie lub ratować sytuację podpowiadaniem partnerowi, jak to się często zdarza, gdy artysta jeden drugiego pragnie salwować. Nie zawsze się to udaje, nawet gdy artyści posługują się obcym językiem w przekonaniu, że publiczność nie rozumie ich rodowitej mowy. Tak było w Bostonie na „Tosce", gdy Calvé i Caravadossi zostali podczas duetu powitani homerycznym wybuchem śmiechu. Okazało się, że Calvé, spostrzegając wypadek w garderobie partnera, nie przerywając arji ostrzegła go słowami: „nie odwracaj się plecami, bo ci ubranie pękło", nie zdając sobie sprawy, że zrozumiano ją na widowni.

Często bywa, że wrodzona dystrakcja płata niespodziewanego figla aktorowi.

Można sobie wyobrazić radość publiczności na widok znanego w ubiegłym stuleciu artysty Taillade'a gdy w roli Napoleona dosiadł konia w ten sposób, że znalazł się... twarzą do ogona.



Przypadki takie nietylko zdarzają się dystraktom. Oto jak słynny Coquelin opowiada o jednym z najkomiczniejszych epizodów z jego karjery.

— Fatalnie spóźniłem się na





przedstawienie i przyznać muszę ze wstydem, że byłem zlekka... Wpadam do garderoby i w kapeluszu na głowie na gwałt charakteryzuję się. Gotów na scenę, wybiegam z loży, łapiąc po drodze cylinder do wieczorowego stroju, w którym miałem występować. Bez tchu prawie, z uśmiechem jednak na ustach... z cylindrem w ręku, rozpoczynam dłuższą tyradę. Publiczność pokłada się ze śmiechu, choć nic w tem, co mówiłem nie było tak komicznego. Wtem z paradysu przerywają mi wołaniem: „Kapelusz, kapelusz!" Cała sala podchwytuje — formalnie głupieję. Uśmiecham się, spoglądam na swój cylinder i, nie wiedząc już co robić z tym fatalnym kapeluszem, wkładam cylinder na... melonik, w którym pozostałem z miasta. Przez cały ten wieczór publiczność nia mogła przyjść do siebie...

Innym razem zdarza się, że niema rola figurantów ma największe w sztuce powodzenie.

Oto, naprzykład, wypadek z Allan. Artystce tej o niezwykłej tuszy wypadło umierać na scenie w fotelu. Dwóch służących figurantów miało wynieść zmarłą — nie mogli jednak podołać zadaniu, co widząc jowialna „zmarła", śmiejąc się do łez, wstała i wyszła ku wielkiej radości widowni.

Podobny wypadek zdarzył się w Nicei na „Marion Delorme". Odpowiedniej tuszy kardynał Richelieu miał paradować w pięknej lektyce, niesionej przez służbę. Załamując się pod ciężarem, figuranci, w pewnym momencie rozpłaszczyli się, zrucając na ziemię Eminencję. Okazało się, że wypadło angażować na to przedstawienie wyrostków, nie było bowiem innego obuwia w rekwizytach, jak rozmiaru dziecinnego.

Innym razem znów, rekwizyty płatają ponurego figla, jak naprzykład przyłbica średniowiecznego autentycznego hełmu, która niespodzianie zamknęła się na głowie nieszczęsnego aktora. Oszczędzono publiczności wprowadzenia ślusarzy na scenę, przedstawienie jednak przerwano.

W prowincjonalnych teatrach częściej się zdarzają niespodzianki z powodu braku odpowiednich rekwizytów i... środków materjalnych. Wypadek, gdy np. amant w mundurze generała z epoki Napoleona pada do nóg damie w stroju z czasów Pochodów Krzyżowych wcale nie jest przesadzony.

Czasem i zachowanie się publiczności jest przyczyną jakiegoś nieoczekiwanego zamieszania na scenie.

Zdarzyło się, naprzykład, że będącemu małego wzrostu Taillade'owi wypadło ratować ginącą w płomieniach partnerkę. Przerachowano się z siłami fizycznemi artysty, „dziewica" bowiem była imponującej tuszy. Gdy napróżno Taillade stara się spełnić przepisane „bohaterstwo", rozlega się głos z sali: „zabierz ją w dwa razy"!

Smutniej bywa, gdy zamiast żartów z sali, a głównie z wyższych kondygnacyj teatru, padają słowa gniewu lub co gorzej najprzeróżniejsze przedmioty. Jednym z ulubionych objektów we Francji jest pieczone jabłko, wprawdzie nie twarde, ale w każdym razie milsze na talerzu.

Mnóstwo wypadków notują kroniki teatralne — odklejanie się wąsów, peruki, figle niesfornej kurtyny, zapadanie się podłogi i t.d. i t.d. Różnie bywa, pomimo troskliwych zabiegów personelu, a winien temu jedynie... przypadek, który kpi sobie ze wszystkiego i ze wszystkich.



PIOTR MAC ORLAN (Przekład J. K.)

Match Bool Burdon

Co się tyczy Clownstona — opowiadał mi jegomość z Kalifornji — mogę zapewnić, że potrafił w sposób mistrzowski organizować zawody bokserskie, wprawiając w zachwyt każdego, kto się chlubi, iż jest prawdziwym Amerykaninem Północy.



Pan zna zastarzałą rywalizację plemienną pomiędzy białymi i czarnymi. Dość powiedzieć, iż Joe Mac Burdon rzucił wyzwanie olbrzymowi-murzynowi Williamowi Boolowi, o którym nikt nic nie wiedział do tego niezwykłego dnia.

Clownston, posiadający od Boga czy od djabła dar urządzania sensacyjnych widowisk, wtrącił się do tej sprawy i kazał wybudować wygodne boisko w Utah.

Była to niedziela, niedziela nigdy niezapomniana, dzień ów, w którym sądzone nam było być świadkami owego jedynego na świecie matchu. Na widowni zebrało się przeszło 20.000 osób, białych i czarnych, którym policja przez ostrożność nałożyła na ręce kajdanki, by zapobiec wszelkim zawsze możliwym „niedelikatnościom".

Clownston bez marynarki już stał pośrodku boiska. Kiedy wkroczyli obaj czempjoni, nie rozległ się żaden oklask, ponieważ, jak już wspomniałem, wszyscy mieli skrępowane ręce.

Murzyn William Bool był rzeczywiście okazem nielada: jeden metr 95 wzrostu, nogi, jak ze spiżu, potężne ramiona, a włosy grube, jak postronki. Jednak, gdy baczniej było mu się przyjrzeć, sprawiał wrażenie człowieka zakłopotanego, nie wiedzącego co czynić ze swojemi dziesięcioma palcami. Joe Mac Burdon zato był niewiele większy od dziesięcioletniego chłopca, miał minę pilnego sztubaka, a głowę wielkości łebka od szpilki.

Przy trzeciem spotkaniu Joe Bur: Williamowi 18 razy po szczęce, a w tym celu musiał podskakiwać, jak zakochany po gałązkę bzu.

Przy drugiem spotkaniu William otrzymał 124 uderzeń w szczękę, nie licząc ciosów gdzieindziej.



Przy trzeciem spotkaniu Joe Burdon potrafił zadać przeciwnikowi 160 boksów w szczękę i ze trzy tuziny pięści, gdzie tylko była okazja.

Murzyn jednak nie osłabł.

Stawało się jasnem, że, jeżeli w dalszym ciągu potrafi w ten sam sposób „inkasować" razy — mały się zmęczy, on zaś zostanie zwycięzca. Doszedłszy do tego wniosku, wszyscy obecni na widowni murzyni spuścili skromnie oczy i na wszelki wypadek woleli pocichu wysunąć się jeden za drugim.

Tymczasem przy 120 starciu William, który wciąż nie dawał odwetu i zdawał się zupełnie pozbawionym wszelkiej energji przy natarciach padł nagle na kolana, jakby chcąc przebłagać Boga, że był durniem całe życie.

Przy 150 starciu murzyn otrzymał taką ilość razów w szczękę, nie puszczając jeszcze w ruch własnych pięści, że skóra na policzkach, rozegrzana od natarcia, zapaliła mu się jak gazeta.

Upadł, po dziesięciu sekundach ugaszono ogień i ogłoszono go za pokonanego przez knock-out.

W tem miejscu jegomość z Kalifornji zamilkł, z lekka zamyślony. Wreszcie wzruszył ramionami spojrzał na mnie wzrokiem, pełnym bólu, jak człowiek, który dał się podejść w dobrej swojej wierze sportowej.

— A tak, — dodał. — Szelma murzyn został powalony i przegrał, nie zadawszy sam ani jednego ciosu. Zastanowiwszy się nad tem poważnie i wziąwszy wszystko pod uwagę, a głównie braki fizyczne Boola, rezultat ten jednak wydaje się normalny, bo przyzna pan, że to był iście murzyński pomysł zrobić się bokserem, będąc bezrękim, jak pingwin, co niech pan sobie wyobrazi, miało miejsce z Williamem, któremu, jak się dowiedzieliśmy po matchu amputowano ręce, gdy miał sześć lat.



Kto, czytając numer, znalazł w nim coś, specjalnie mu odpowiadającego, niech pomyśli życzliwie o „Famulusie" i zjedna mu nowego abonenta, czem przyczyni się do rozpowszechnienia pisma.

JAN ANDRZEJEWSKI

Pieśni buntu i nienawiści

Ze współczesnej poezji chińskiej

W Chinach wre walka o wyzwolenie się z pod jarzma obcej przemocy. W potokach krwi i wśród szczęku żelaza naród chiński sięga po wolność. Bunt, który wypowiada się dziś orężnie, dawno już burzył serca ludu. Wyrazem tych nastrojów jak zwykle u wszystkich narodów, była poezja, w której znajdowały ujście uczucia, ożywiające zbiorową duszą chińską. Dużo nienawiści, żalu i rozgoryczenia nagromadzili ku sobie biali, rządząc się w obcem i jednem z najstarszych państw, jak u siebie w domu i eksploatując chiński naród. Pieśni ludowe ostatniej doby, jak w zwierciadle, odbiły w sobie krzywdę i upośledzenie oraz pragnienie odwetu i zemtsy.

Czy handlarz europejski potrafi zdławić ruch obcemy i nadal narzucić przemoc dla swoich korzyści, niedaleka przyszłość pokaże. Walka się rozgrywa...



Fyn-szuj, czyli gniewliwy demon

RACZ ZBAWIĆ KRAJ OD BIAŁYCH WROGÓW!...

Dzięki, dzięki, Boże bogów,
za morowej śmierci dech,
zbaw nasz kraj od białych wrogów,
niechaj mrą, niszczeją niech.

Niech przenika dżuma
do najdalszych stron,
śmierć, jej czarna kuma,
niechaj zbiera plon.

Bądź litościwy, Boże bogów,
racz zbawić kraj od białych wrogów!

Stygną w grozie tłumy,
cały kraj, jak grób,
wsie — cmentarze tumy,
bo przy trupie trup...

Bądź litościwy, Boże bogów,
racz zbawić kraj od białych wrogów!

Niech, jak ostrego wichru wiew,
wyżenie ich twój straszny gniew...

O BARBARZYŃCY!...

O barbarzyńcy z twarzą białą,
dość chińskiej nędzy, mąk i łez,
zbliża się rządów waszych kres,
inaczej będzie się nam działo...

Za kilka jeszcze, kilka lat
miljony żółte zdławią świat,
niech lęk do kości wam przenika,
niech drży Europa, Ameryka!



Anioł-stróż, strzegący wejścia do wrót świątyni

ONGI BYLIŚMY PANAMI...

Ongi byliśmy panami,
wolność miał nasz kraj,
dzisiaj przemoc ponad nami,
grób co kilka staj.

Banda rządzi dziś zbratana
wśród żałobnych dni,
ten, co chodził bez kaftana,
złotem cały lśni.

Ladacznice — wielkie damy,
łotr — najpierwszy mąż,
zbrodnia, fałsze, hańba, kłamy,
splotły się, jak wąż.

Mandarynem byle złodziej.
mędrcem byle kiep,
złe oplony niwa rodzi,
zgorzkniał chiński chleb.

Biednaś Ty, Ojczyzno nasza,
biedny dziś twój lud,
wróg, jak paździerz, cię rozprasza,
w łono twe się wgniótł.



Znany kartograf, Bazewicz za skarykaturowanie go na filmie, finansowanym przez cukiernika, p. Albrechta, wytoczył mu proces. Bazewicz wychodzi z sądu.



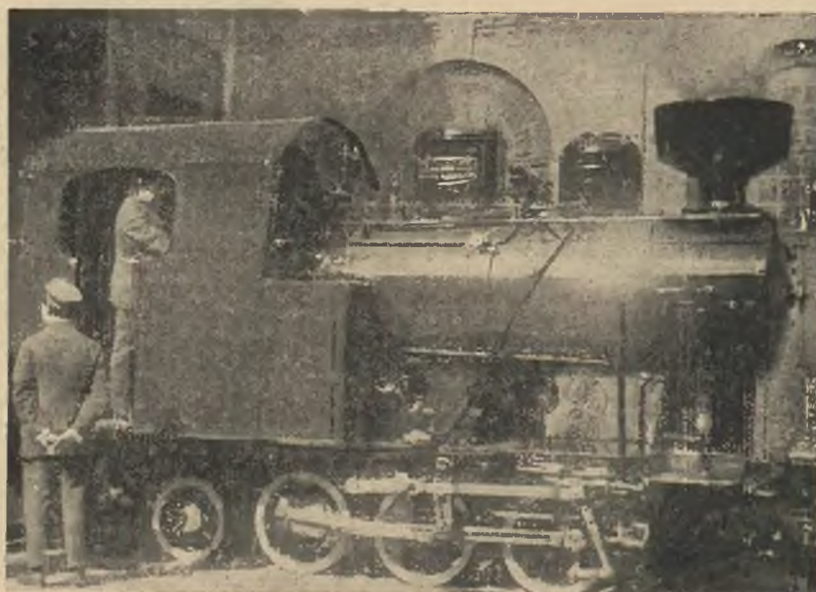
Prezydjum odbytego w tych dniach w stolicy zjazdu Rady Naczelnej Koła Polek. Pp. Skotnicka, Szymkowiakówna, Łubieńska, Błeszyńska, Czarnecka i Wiszniewska.



Zaraza wschodnia pcha się do Polski. W tych dniach wykryto nową tajną drukarnię bibuły bolszewickiej.



W „biegu narodowym“ pod Warszawą startowało 103 zawodników.



Inżynierowie fabryki „Parowóz“ przy próbie wąskotorowej lokomotywy, zbudowanej według własnego pomysłu.



Podróżnicza ruchliwość monarchów angielskich. Książę Yorku z małżonką wylądowują na wyspie Fidżi.



Były Kronprinz w towarzystwie króla duńskiego, podczas wizyty monarchy w Berlinie. Nie można powiedzieć, by Kronprinz miał zbyt uroczysty strój.



Emir afgański z następcą tronu w otoczeniu świty — na ceremonji oddania hołdu poległym na wojnie. Monarcha wspiera się na ramieniu Naczelnego Wodza sił zbrojnych, w ten sposób manifestując wiarą swą w lojalność armji.



Nieustraszeni rekordziści wciąż ubiegają się o nowe laury. Mjr. Segrave przy szczególnej konstrukcji 1.000 konnym Sunbeam'ie, przed wyścigiem na Dayton-Beach. W szlachetnej rywalizacji nie powstrzymuje go śmiertelny wypadek Parry Thomasa.



Broniąca się przed zgubną agitacją wywrotową chińska armja północna poddaje ścisłej rewizji przechodniów. Winnym grozi natychmiastowa egzekucja.

WIKTOR PRZECŁAWSKI

(Z nieogłoszonych materjałów)

Powstańcy r. 1863 na zesłaniu

VII

Bernard Górski

Materjał do poniższej notatki otrzymaliśmy od syna powstańca, księdza Ludwika Górskiego, który, pisząc do nas, zaznacza między innemi, iż „gazety warszawskie często zaczepiają Pomorze i b. zabór pruski o brak patrjotyzmu".

Aczkolwiek nie spotykaliśmy się podobną opinią na łamach poważnie myślącej prasy, tem nie mniej szczęśliwi jesteśmy, mogąc pomóc szanownemu korespondentowi w rzuceniu jeszcze jednego promienia światła na udział poznańczyków i pomorzan w powstaniu styczniowem, jak również wdzięczni jesteśmy za nadesłanie cennych materjałów, które w miarę możności postaramy się rozwinąć.



BERNARD GÓRSKI

urodzony w r. 1844 w Pelp nie, z oddziału kpt. Wandelta i płk. Strzeleckiego, uczestnik „legjonu pruskiego", zmarł w r. 1914 w Starogardzie na Pomorzu.

W 1863 r. 19 letni młodzieniec, Bernard Górski, z 10-ma towarzyszami, wszyscy z okolic Pelplina, opuścili rodzinne strony, by, przeszedłszy przez kordon graniczny, przyłączyć się do partji powstańczych.

Dwukrotnie oddziałek przekradał się przez granicę pomiędzy Brodnicą a Nowem Miastem, dwukrotnie, po rozbiciu przez nieprzyjaciela, powracali na Pomorze, gdzie żywo wspomagani byli zarówno moralnie, jak i czynnie, przez okolicznych ziemian, Kalksteina z Klonówki, Jackowskich i licznych sympatyków, których pod każdą niemal strzechą polską można było spotkać.

Ostatecznie przyłączyli się nasi patrjoci do oddziału, pozostającego pod dowództwem kapitana Jana Fryderyka Ewalda Wandelta, tak zwanego „kochanego kapitana" i pułkownika Strzeleckiego pod naczelnem dowództwem generała Bossaka.

Oddziałek ten był zaczątkiem „pruskiego legjonu.

Spotkał ich los większości partyj powstańczych. Nie przyjąwszy udziału w żadnym większym boju, rozgromieni zostali w okolicach Mławy w marcu 1864 r., dowódcy rozstrzelani, „kochany kapitan" Wandelt w Mławie, a nieodłączny przyjaciel jego i towarzysz broni, porucznik Rybarski, w Płocku.

Bernard Górski, jako niepełnoletni, został skazany na zesłanie na Sybir i deportowany z partją 800 powstańców do Irkucka.

Próbowali zrazu zesłańcy masowej ucieczki w kierunku wschodu, przez granicę chińską, spisek ich jednak nie doszedł do skutku, wskutek haniebnej zdrady ze strony jednego z towarzyszów.

Z kolei transportowano Górskiego do Archangielska, gdzie przebywał do 1869 roku.

Zwolniony został w tym czasie wskutek energicznej interwencji posła na sejm pruski, Niegolewskiego.

W łachmanach niemal, z tobołkiem na plecach powrócił w rodzinne strony, unosząc z zesłania cenną pamiątkę, książkę, podarowaną mu przez współtowarzysza niedoli więziennej, Francuza, kapitana Alfonsa le Borec. Na marginesach tej książki, o treści zresztą zupełnie obojętnej, czytamy ponury spis wygnańców, spotkanych na tułaczce, z krótką wzmianką o ich losie.



Grupa powstańców 63 r., nadesłana przez p. Michalinę Zapaśnikową, córkę ś. p. Jakóba Łopacińskiego. Na fotografji są następujący bohaterowie: 1) Miziewicz Antoni, 2) Malnowski, 3) Rosłaniec, 4) Szopanowicz Ignacy, 5) Tyszkiewicz Jan, 6) Dowiatt Feliks, 7) Lipski Stanisław, 8) Przybora Konstanty, 9) Poniatowski, 10) Iwicki Ignacy, 11) Granacki Ignaay, 12) Zaykowski, 13) Koszko Antoni, 14) Łopaciński Jakób, 15) Krótkiewski Seweryn, 16) Ożarowski Kazimierz, 17) Przybora Michał' 18) Paprocki Lucjan, 19) Piotrowski Roman, 20) Pawlikowski Mikołaj, 21) Maciejewicz Edward, 22) Wandołowski Ludwik, 23) Kwaśniczko Karol.

Plebiscyt „Famulusa“

Jakich kobiet nie lubią mężczyźni? Jakich mężczyzn nie lubią kobiety?

Kto nie lubi kobiet?...

I po co ta perfidja męska i obłuda? Który z was nie lubi kobiet? Który z was jest niby wrogiem rodzaju żeńskiego? I po co to odgrywanie roli Napoleona, który niby to nie lubił kobiet i mieszczególne wygłaszał o nich zdania, a jednak był kobieciarzem, jak mało kto ze śmiertelnych?

Nie lubi kobiet, a właściwie udaje, że nie lubi ten tylko mężczyzna, który nie ma wśród nich powodzenia, a więc: brutal, płytki i nieociosany. Takich my właściwie nie lubimy.

Zofja S-ka
Inowrocław.

Nie lubię kobiet, pozujących na mężczyznę...

Nie lubię kobiet, pozujących na mężczyznę. I po co to i na co? Czyż może sarna stać się tygrysem, a tygrys sarną?

A jednak dziś to jest w modzie.

Nie mówię tu o krótkich włosach, bo, jeśli która z pań na tem zyskuje i tem większego nabiera powabu, niech sobie nawet głowę ogoli. Nie mówię o krótkich sukniach, bo, jeśli która ma zgrabne nóżki, niech sobie je skraca, ale jeżeli ma nogi, jak butelki lub nogi od fortepianu, to, na litość Boską, niech treny puszcza.

Słowem nie chodzi mi o rzeczy zewnętrzne, które, jeżeli z kobietą harmonizują i podnoszą jej urodę, podwajają tylko wdzięk kobiecy. Chodzi mi o zacieranie rozmyślne czaru kobiecego na rzecz udawania mężczyzny, udawania przeważnie nieudolnego, niemiłego i odstręczającego.

Pomyślcie o tem, piękne panie, zwłaszcza te z was, które uprawiacie emancypowanie się w najniewłaściwszym dla kobiety kierunku.

Stefan W-ski
Włocławek.

Kobieta nie jest od kuchni...

Czasy się zmieniły, zmieniły się poglądy i obyczaje...

Babki nasze były wychowywane na matki i żony, panie domu i gospodarstwa. Z wykształceniem było gorzej. Im lepsza gospodyni, im bardziej gospodarna, tem więcej była warta.

Dziś jednak, gdy dobry obiad zjeść można w restauracji, utrzymać czystość w domu za pomocą aparatów-odkurzaczy, gdy gospodarstwa najczęściej nawet się prowadzić nie opłaci, kobieta staje się towarzyszem mężczyzny nie od kuchni i podłogi, lecz od jego pracy, od jego zainteresowań społecznych i politycznych, od jego życia publicznego.

Im która więcej się na tem zna, tem więcej posiada wartości we wspólnem pożyciu.

Jan Brzeski
Kraków.

Szukamy kobiet urodziwych...

Co tu się dużo rozwodzić na temat, który w istocie swej nie zmienił się od początku świata?...

Tak było i będzie, że starożytnemu czy współczesnemu mężczyźnie będzie się zawsze podobała kobieta urodziwa. Żeby nie wiem jakie cnoty posiadała przy szpetnem obliczu, nie będzie miała powodzenia i szczęścia u mężczyzn.

Przytem kobieta ładna jest zawsze lepsza od brzydkiej, która przeważnie jest zła, dokuczliwa i nieznośna.

Lubimy kobiety przedewszystkiem urodziwe, a jeżeli do tego mają jeszcze charakter, one tylko mogą zgotować prawdziwy raj na ziemi, opromieniając szare codzienne życie.

Słusznie głosi poeta, że „kobieta — czar, kobieta — kwiat, jasny chryzantem szarej ziemi“.

Roman Zaliwski
Warszawa.

Dalszy ciąg ze strony 5.

Wandy i popędziła naprzód. Bratowa ją dogoniła:

— Nie leć tak, Ziutko. To Stach za nami biegnie. Musimy zaraz jechać.

Ziuta oparła się o balustradę mostu. Szykowała się do ostrego zmonitowania Wandeczki za rozporządzanie się jej wolną osobą, gdy rozległ się zadyszany głos brata:

— Słuchajcie kobietki! Szczególniej ty, Wandulko, bo wiem, żeś się interesowała tą sprawą. Pamiętasz popełnioną w Poznaniu bestjalską zbrodnię? Dzisiaj schwytano w Gdańsku mordercę tej biednej wdowy. Podobno ma moc przestępstw na sumieniu. Dotychczas uchodziło mu wszystko bezkarnie. Internacjonalny zbrodniarz, który grasował przeważnie w wyższych sferach, wkręcając się tam przez kobiety, późniejsze swe ofiary. Grabowski, który przypadkowo był świadkiem aresztowania, mówił, że podał się za barona Meyhoffera. Była taka rodzina podupadłych kurlandzkich baronów w Polsce. Nawet pamiętam jakąś romantyczno-tragiczną historję o nich. Ale naturalnie nazwisko fałszywe. Grabowski jest przekonany, że to psychopata. Złapano go bowiem, gdy najspokojniej wychodził ze sklepu z kwiatami, trzymając w ręku ogromny bukiet czerwonych róż. A przecież wiedział, że rozesłano za nim listy gończe. Mógł doskonale ukryć się w porcie, tembardziej, że miał wszystkie papiery na wyjazd do Afryki, a dziś odchodzi jego parowiec do Francji.

— E, to może wcale nie on. Poczem go zresztą poznali? — spytała ciekawie Wanda.

— Napewno on. Nie zapierał się bynajmniej. A poznali go po jakiejś bardzo znamiennej bliźnie nad lewem okiem... Ziutko!... Co ci się stało! Na miłość boską! Ziutko!...

Pani Ziuta zemdlała.



KONIEC.

Za chlebem na obczyznę

Sprawozdanie umyślnego delegata „Famulusa“

Telefon:

— Amerykańsko-Bałtycka linja, dyrektor Plinius... wycieczka dziennikarska... Wejherowo, obóz emigracyjny... zwiedzanie odjeżdżającej „Estonji“... spotkanie 11-a wieczór na dworcu odjazdowym...

Znakomicie!

Jedziemy, bo kogóż nie interesują losy naszej emigracji, którą rok rocznie zasilają nowe zastępy wychodźców, żądnych lepszego szczęścia na obczyźnie. A przytem tyle sprzecznych wiadomości o warunkach, w których się znajdują od chwili odjazdu...

Pierwszy etap wycieczki, obóz emigracyjny w Wejherowie, dokąd z Gdańska udajemy się samochodami.

Szeregi budynków, pozostawionych przez zaborcę, dawny szpital dla umysłowo chorych, są za ciasne, by móc pomieścić liczne rzesze emigranckie, które tu są zmuszone odbyć kilkudniową kwarantannę.

Wychodźcy podlegają tu przeróżnym formalnościom, przeważnie natury hygieniczno-sanitarnej, które może są przykre, ale jakże niezbędne! Omal nie dyzenfekują zapasów spożywczych w tobołkach.

Szybko zwiedzamy obóz, za szybko może, ale spieszymy się na odjazd „Estonji“.



Sprawdzanie dokumentów przez władze Wolnego Miasta Gdańska.

Galopujemy prawie za młodym i energicznym dyrektorem, p. Dąbrowskim i jego zastępcą, p. Kortylewiczem, przebiegamy przez budynki i podwórza.

Ogólne wrażenie: ciasno, bardzo ciasno i... dość prymitywnie, ale budżet Państwa — „ultima ratio“.

Pozostawiamy kołatanie przedstawicielom instytucyj społecznych, które tu mają swoich reprezentantów: Polskiemu Towarzystwu Emigracyjnemu, Stowarzyszeniu Młodych Kobiet i Hias'owi.

Ładujemy się do samochodów i mkniemy z powrotem do portu gdańskiego.

Okręt stoi przy brzegu. Duńska flaga wesoło powiewa na wietrze. „Estonja“ jest 12.000 tonowym okrętem, jedna z 3-ch jednostek pasażerskich, któremi rozporządza Towarzystwo. Pomieścić może wygodnie 1000 pasażerów.

Dziś zabierze czterystu kilkudziesięciu wychodźców, wśród których



Typy załogi, wśród której różne „wilki morskie“

mało Polaków, przeważają Rusini i Niemcy.

Z miejsca uderzeni jesteśmy, iż w przeciwieństwie do innych trans=atlantyckich statków, gdzie pasażer III klasy traktowany jest, jak par=jas, klasa emigrancka tu przedsta=wia się nawet okazale.

Dla wszystkich kabiny, przestron=ne stołownie, ogólne sale, długi po=kład spacerowy.

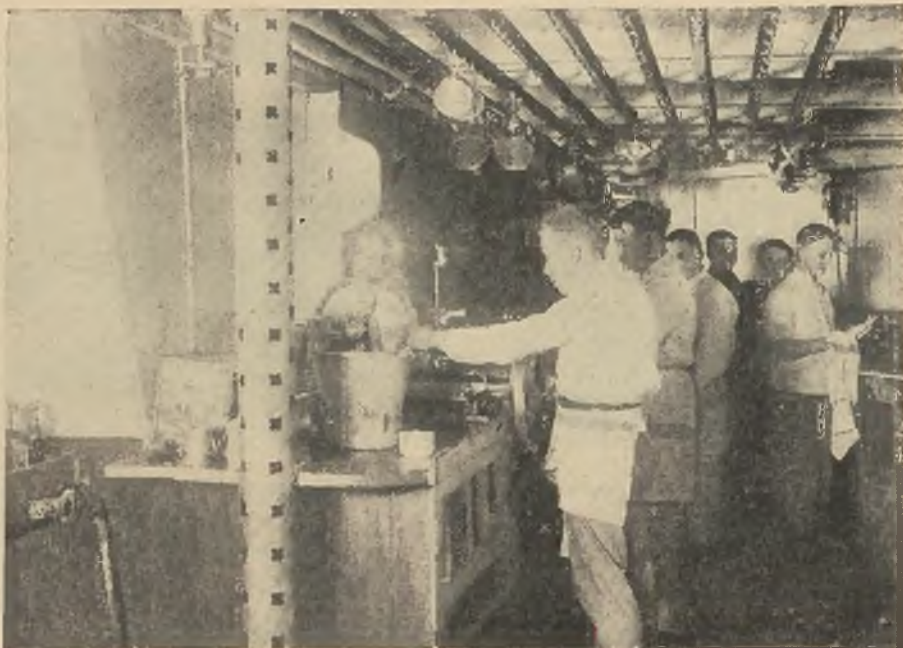
Nie darujemy żadnego szczegółu. Oglądamy kuchnię, próbujemy stra=wy, zwiedzamy urządzenia hygie=niczne.

Wszystko bez zarzutu i widać, jak z satysfakcją roztasowują swoje tobołki podróżni, obejmując w 10=dniowe posiadanie komfortowe pły=wające mieszkanie, przedsmak tych zmian, które ich czekają, może, za Oceanem.

Inni znów, ciekawi, jak i my, zwiedzają wszystkie zakątki okrętu, dostępne dla publiczności.

Na najwyższym pokładzie przy=godna orkiestra, trąbka, klarnet i bęben, nastraja dźwięczne instru=menty.

Najważniejsze, i to jest wyłączno=ścią Amerykańsko=Bałtyckiej linji, to bezpośredniość komunikacji, tak, że emigranci, jadący do Stanów Zje=dnoczonych i Kanady, unikną tu uciążliwego koczowania z pociągu na pociąg, z baraku do baraku, by wreszcie dostać się na statek.



W kuchni na okręcie wzorowa czystość i porządek.

Przejazd trwa normalnie 10 dni, co w tych warunkach komfortu wcale nie jest uciążliwe.

Z gościnnością podejmowani przez dowództwo okrętu, opuszcza=my pokład, żałując, iż sami nie mo=żemy odbyć dłuższej wycieczki za Ocean, by tam na miejscu przypa=trzeć się doli i niedoli emigranta.

Straszny ryk syreny obwieszcza odjazd. Podnoszą pomost, ostatni łącznik ze stałym lądem.

Już chusteczki powiewają na brzegu i na pokładzie. Ostatnie sło=wa pożegnania głuszy ryk syreny i dźwięki przeraźliwego sztajerka tam, na górnym pokładzie.

Olbrzym leniwie wykręca się, cią=gniony przez dziarski, mały holow=nik, który wyprowadzi „Estonję" na pełne morze.

Serdeczne słowa podzięki należą się dyrektorowi linji, p. Pliniusowi, za zorganizowanie tej interesującej wycieczki.

Troska o wychodźców polskich jest sprawą zawsze aktualną, zwła=szcza, że tak liczne, niestety, szere=gi naszych braci w poszukiwaniu chleba emigrują w obce kraje.

Z satysfakcją stwierdzamy, iż wy=siłki ze strony Amerykańsko=Bał=tyckiej linji okrętowej są celowe i widoczne.



Pożegnanie z tymi, którzy zostają w Ojczyźnie.



„Estonja", wioząca naszych emigrantów wypływa z portu na pełne morze.

A więc odjechali nasi bracia w obce kraje.

Statek wypłynął z portu na pełne morze. Już nie widać chusteczek, powiewających z oddali. Temu i owemu łza zakręciła się w oku. Jakaś babina, która też emigruje, przywarła ustami do medalika Najświętszej Marji Panny Częstochowskiej i zawodzi w niebogłosy:

— O Panienko Święta! racz mnie nie wypuszczać ze swej opieki...

Smutek i zaduma ogarnia wszystkich pasażerów.

Co będzie? Co ich czeka?

Czy lepsza przyszłość, opromieniona słońcem dostatku, czy nowa poniewierka i udręka, tem cięższa, że wśród obcych?

Bywa różnie... Jeden zyskuje, drugi traci.

Radjo

ROZWÓJ RADJA W KRAJU

Inicjatywa, która na pierwszy rzut oka miała zasadnicze znaczenie dla propagandy polskiej zagranicą — transmisja, niezmiernie korzystnie odbiła się na propagandzie radja wewnątrz kraju. Inicjatywa ta bowiem pociągnęła za sobą transmisję zagranicy do nas, z której skorzystali „kryształkowicze", stanowiący największą masę w sferach radjoamatorów. Zagranica na aparacie detektorowym! Popyt na te aparaty wzmógł się bardzo znacznie, a jednocześnie z tem... meldowanie aparatów.

Nie ustajemy, bo oto rozgałęzia się szybko sieć nadawcza w kraju: Kraków, Poznań, a teraz Katowice, które przez Sejm Śląski zadeklarowały Polskiemu Radju 600.000 zł. pożyczki, na wybudowanie śląskiej stacji.

Tak nam wielce zależało przecież na tej stacji, by walczyć skutecznie z propagandą ościenną, która wszelkiemi drogami zdąża do zahamowania rozwoju polskości Śląska.

Nie ustawajmy i zwróćmy z kolei naszą uwagę na Wschodnie rubieże kraju, które w równym stopniu a może i więcej potrzebują, by radjo było należycie popularyzowane.

JESZCZE O TELEWIZJI

Poza pracami Baird'a, o których wspominaliśmy w jednej z naszych kronik, nie mniej ważne są badania d-ra E. F. W. Andersona, radcy technicznego General Electric Co. w Stanach Zjednoczonych. Amerykański Instytut Inżynierów-Elektrotechników w St. Louis wysłuchał w tych dniach obszernego referatu Andersen'a.

Radjo-transmisja pojedyńczego obrazu jest całkowicie wypróbowana. Telewizja wymaga transmisji, odbiorczej reprodukcji na ekranie pojedyńczego obrazu w błyskawicznym okresie 1/16 sekundy. Tu nastręcza się trudność zastosowania nowego aparatu projekcyjnego, któryby zdołał rzucić na ekran obrazy z taką szybkością, by mogły one znaleźć wyraźne i jasne odzwierciadlenie w aparacie wzrokowym obserwatora. Szybkość niezbędna w tym wypadku wynosi nie mniej 300.000 obrazów na sekundę, których jeden aparat nie jest w stanie ująć.



Wobec tego Anderson wprowadził w grę 7 aparatów, powiększając siłę projekcyjną 49 razy i redukując szybkość odbicia w propozycji 7 : 1.

Promienie tych 7 aparatów,ześrodkowując się na ekranie dają rezultaty, które w zdumienie wprowadziły uczone zgromadzenie.

STATYSTYKA SZCZEGÓŁOWA RADJOSŁUCHACZY

Statystyka szczegółowa radjosłuchaczy podług ich zawodów miałaby niezawodnie wielkie znaczenie dla kierownictwa programów stacyj nadawczych, ułatwiając im taki dobór audycyj, który z jednej strony zadawalniałby większość, z drugiej zaś odpowiadał również wymaganiom mniejszości. To też w celu ustalenia z jakich warstw i grup społecznych składają się słuchacze radja, przeprowadzono w rozmaitych krajach ankiety. Najpoważniej i najsumienniej opracowała odnośną statystykę jednak jedynie Czechosłowacja: 47 proc. ogółu stanowią tam urzędnicy 22 proc. — robotnicy, 20 proc. — pracownicy przemysłowi, 8 proc. — studenci, 2 proc. rolnicy i 1 proc. zawody rozmaite.

TEATR i SZTUKA

TEATR LETNI

„EPOKOWY WYNALAZEK“, Jana Adolfa Hertza, groteska w 3 aktach.

Epokowy wynalazek wystawiony w teatrze Letnim przez reż. Chaberskiego, stanowi połączenie farsy na modłę Bałuckiego z usiłowaniem rozwiązania głębokiego problemu walki ze śmiercią. Groteska jest tak skonstruowana, że łatwo dałaby się rozdwoić i przy odpowiednim zawikłaniu fabuły farsowej, bez „epokowego wynalazku“ niewątpliwie zyskałaby dużo.

Bo tam problem wiecznego życia jest tak iluzoryczny, że nikogo nie przekonywuje; nikt nie wierzy w możliwość dokonania takiego dzieła. Jedni, ci życiowo zawiedzeni — przez niechęć; drudzy mistycy — ponieważ w śmierci znajdują jedyne wyzwolenie z „doczesnych roskoszy„; a inni, których nam autor sam przedstawił w rolach bezrobotnych lekarzy, przedsiębiorców zakładów pogrzebowych — jedynie dla interesu. Czyli problem epokowego wynalazku nikogo nie przekonywuje, ergo nie może służyć, jako temat nawet do groteski. Bo i ta musi posiadać swoje realne i pozytywne podstawy. Zato środowisko farsowe zostało bardzo trafnie i niezmiernie żywo podpatrzone.

Profesor — stary safandula i pantoflarz, całkowicie oddany swojej nauce; żona jego, „pan domu w spódnicy“, któraby rada jeszcze choć raz jeden westchnąć miłośnie; dwie córki, z których starsza niebezpiecznie głupia panna na wydaniu, wygrywająca piękne arje operowe, że aż uszy więdną; jej siostrunia, młoda, ambitna rezolutna i diatego niewiadomo skąd się wzięła do takiego „milieu“; głupowaty asystent profesora; romantyczny technik — froter, zakochany w młodszej panience; jowialny lokaj „asystent asystenta“ i wreszcie kamienicznik, taki typowy „homo novus“, zręcznie rewindykujący swoje należności — oto sylwetki farsowej części groteski. Przy ich pomocy i na tle ich życia wytworzyłaby się doskonała przybyszewszczyzna. I to wystarczyłoby najzupełniej, ale autorowi zachciało się nadto rozwiązywać problemy i skutek jest taki, że groteska nuży, męczy i mało interesuje.

Obsada ról mniej więcej dobra. Na pierwszy plan wysunął się Kurnakowicz w roli głupowatego asystenta. Talent tego aktora rowija się z dnia na dzień w sposób bardzo widoczny. Doskonały był Orwid w roli kamienicznika. Miła była p. Lenerówna, jako młodsza latorośl profesora. P. Jasińska w roli jej siostry — była rażąco przejaskrawiona, wolimy ją w dramacie i to historycznym. W części groteskowej — imponujący był Zelwerowicz, jako car Aleksander III, zaś Oranowski doskonale ucharakteryzowany na Bismarcka.

Tempo gry — właściwe. M. S.



Teatr Miejski im. J. Słowackiego w Krakowie. Wł. Orkana p. t. „Franek Rakoczy“. Scena między djabłem plebańskim (L. Komornicki), a djabłem wsiowym (L. Żukowski).

Z SYLWETEK TEATRALNYCH



Ulubienica publiczności stołecznej Zula Pogorzelska robi „perskie oko“.





Jak się tworzył aparat kinematograficzny

Wynalazki szybko się popularyzują i równie szybko zapominamy o szeregu żmudnych wysiłków i niezliczonych prób, które się składają na zrealizowanie teoretycznego pomysłu.

Taką samą powolną drogę ewolucji przechodziła kinematografja.

Zasada jest napozór prosta.

Jeśli w latarni projekcyjnej dojdziemy do możliwie szybkiej zmiany obrazów, z których każdy różni się od poprzedzającego go szczegółem ruchu ogólnej akcji, otrzymamy optyczną złudę ciągłości akcji.

Pierwszym zatem etapem była tu projekcja i jej udoskonalenie, a następnie, współrzędnie z rozwojem fotografji, a szczególnie z decydującym momentem stosowania fotografji migawkowej, zrealizowanie fotografji kinematograficznej i projekcja otrzymanego materjału filmowego, który w latarni zastąpił obrazy na szkle.

Olbrzymia ta zdobycz wynalazczości jest przedstawiona w otwartem niedawno w Paryżu muzeum kinematograficznem, które oddano do prowadzenia wielce zasłużonemu w tej dziedzinie wiedzy, p. Grimoin Sanson.

Pierwsza próba projekcji odnosi się do fantaskopu Robertsona z r. 1798, który ściągał tłumy ciekawych na pokazy w Paryżu.

W kilkadziesiąt lat później udoskonalono ten pierwszy aparat wprowadzeniem elementu ruchu. Nowy ten aparat (1825) — to dziecinnie dziś prymitywny taumatrop, zootrop, fenakistikop: przez szparę w okrągłem pudle, poruszając nieskomplikowanym systemem sznurków, jak przy pajacach dziecinnych, widz przyglądał się skokom figurek z tektury.

Aparat ten został zmechanizowany w roku 1832 przez uczonego fizyka, Plateau.

Wszystkie te zabawki nie miały zasadniczego znaczenia, dopóki nie wynaleziono fotografji i nie pomyślano o jej zastosowaniu do projekcji.

Pierwszym z aparatów, posługującym się ruchomemi zdjęciami na dagerotypach jest t. zw. rewolwer fotograficzny Janssena (1874), dzięki któremu pochwycił zjawisko astronomiczne w 47 obrazach.

Dopiero w latach 1886 i 1893 zastosowano taśmę filmową do zdjęć dynamicznych (wynalazek Marey).

Synteza ruchu przez ciągłość przewijania się filmu została otrzymana przez Edisona w jego kinetoskopie.

Decydującą inowacją wszakże jest dopiero wynalazek Lumieré'a (1895), który otworzył w Paryżu pierwszy teatr kinematograficzny na bulwarach.

Definitywne udoskonalenia wynalazku Lumieré'a zostały przyniesione przez obecnego dyrektora muzeum, Grimoin Sansona, dzięki aparatowi zwanemu fototakigrafem.

H. M.

W 6-tą rocznicę oswobodzenia Śląska

„Górny Śląsk pod Krzyżem"(?!)

Spontaniczna, olbrzymia manifestacja ludności polskiej w Katowicach nie dziwi nas wcale wobec tego specyficznego ducha, który stale ożywia pokolenia niemieckie.

Duch to całkiem szczególny, duch którego nie zmienią narzucone pacyfizmy, międzynarodowe pakty ugodowe i wielki nawet „duch Locarna".

„Oberschlesien, Land unterm Kreutz" (Górny Śląsk pod krzyżem), oto ostatnia filmowa kreacja niemiecka, demonstrowana obecnie w Berlinie i finansowana przez niejakiego Hugenburgera wydawcę „Lokal-Anzeigera".

Film ten, którego przemjera była oficjalną manifestacją rządu, zaszczycona bowiem została obecnością kanclerza Marxa, jest godny napiętnowania przez opinję publiczną na całym świecie.

Ciż sami Niemcy, których poselstwa zagraniczne, opierając się na uchwale kongresu paryskiego, protestowały przeciw wystawianiu obrazów gdzie jakakolwiek czyniona jest aluzja do Wojny Światowej, występują oficjalnie z filmem, w którym nic niema innego, jak tylko jątrzenie tendencyjnie spaczonych faktów.

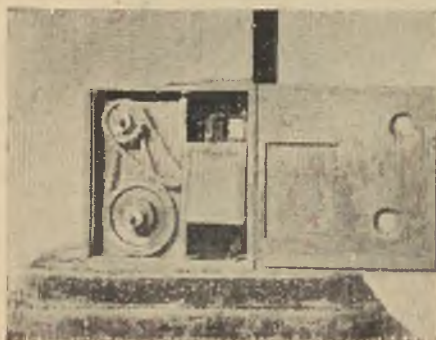
Nie powinno nas to wprawdzie dziwić, bo znamy legendarną szczerość uczuć naszych sąsiadów, zdziwi nas natomiast, jeszcze raz powtarzamy, jeśli nie usłyszymy powszechnego protestu, co najmniej opinji publicznej na całym świecie.

Obowiązkiem naszym jest zareagować w odpowiedni sposób na to wyraźne i oficjalne pogwałcenie kurtuazji międzynarodowej.

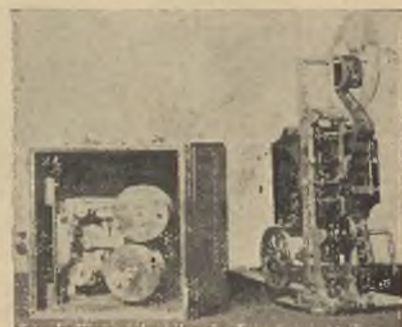
Niema w Polsce miejsca dla niemieckiej produkcji filmowej, dopóki nie otrzymamy należnej nam satysfakcji!



Rewolwer fotograficzny Janssena (1874).



Kronofotograficzny aparat Marey'a (1888).



Fotokakigraf Grimoin-Sanson (1895 1896).

MODA

KAPRYSY



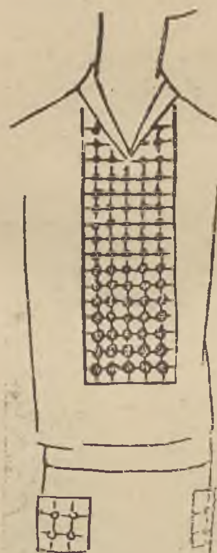
Duch mody współczesnej przejawia się nie tyle w zmianach samej formy, ile w kapryśnych, coraz nowych szczegółach toalety. One to sprawiają, że rzecz dawno widziana, przyobleka nową postać przez zastosowanie najróżnorodniejszych linij kołnierzy, krawatów, pasków, rewelacyjnych koronek, haftów, plis i t. p.

Zebraliśmy w tem miejscu kilka ostatnich nowości, które, rzucone na starą nawet sukienkę, znakomicie nadają jej świeży wygląd.

Oto kołnierzyk, który zamiast, by schodził razem z wyłogami, niespodziewanie zapina się pod szyją. Ten znowu tworzy jedną całość ze stanikiem, z którym łączy się drobnym plisowaniem. A ten, na podobieństwo sportowego męskiego kołnierza, ściąga się normalnym męskim, angielskim krawatem, w jaskrawe pasy. Oryginalny głęboko wycięty na plecach dekolt, ubrany jest zwisającemi rzędami pereł. Kwiat, wpięty na wstążce, opasującej szyję, jest szczęśliwie pomyślaną inowacją, wobec zbanalizowanego już dziś noszenia kwiata na ramieniu.

Podobnych warjantów w szczegółach toalety jest całe mnóstwo, wystarczy z całości uchwycić nowy szczegół, by otrzymać wdzięczną, modną, a nadewszystko tanią przeróbkę.











NOWA METODA



— Kto ciebie wyleczył z tego uporczywego kaszlu?

— Doktór Asterblum.

— Hydroterapją?

— Nie. Dał mi na przeczyszczenie.

— Nie może być? I już nie kaszlesz?

— Ja się boję...

MOMENT PSYCHOLOGICZNY

I



— Ręce do góry!...

II



— Abram, masz te 500 złotych, co jestem tobie winien.

OD REDAKCJI: Do bieżącego numeru dołączamy dla naszych Prenumeratorów drugi arkusz powieści p. t. „Tajemnica pokoju nr. 17".

SPORT

NA PEWNE ZWYCIĘSTWO

Decyzja zapadła... Departament kawalerji zatwierdził wybór, uczyniony przez specjalną komisję, oficerów mających wziąć udział w zawodach hippicznych w Nicei. Pojadą zatem: ppłk. Rómmel, mjr. Toczek, rtm. Antoniewicz, rtm. Królikiewicz, rtm. Suski, por. Szosland, por. Starnawski i por. Lewicki.

Nie łatwo było dostać się na tą listę, jak świadczą warunki wstępnego konkursu, który się odbył w Grudziądzu. wyznaczono bowiem 12 przeszkód od 1.5 mtr. do 2 odpowiadających ciężkim warunkom, które w ostatniej chwili wprowadzono do Nicei.



Abegłen, mistrz Szwajcarji, startuje w biegu handicapu w Paryżu. Obok stoi nasz sympatyczny kolarz, Henryk Szamota.

O ile jednak trudne były te warunki, nie łatwe też było zadanie jury grudziądzkiego, wszyscy bowiem oficerowie pomimo bardzo ciężkiego terenu zrobili razem zaledwie 4 błędy.

Zaznaczyć należy, że ekipa nasza ma tem większe szanse powodzenia, iż wyjeżdża na koniach daleko wyższej klasy, aniżeli poprzednio.

Wyjazd naznaczono na pierwsze dni kwietnia.

NARODOWY BIEG NAPRZEŁAJ

Stu trzech zawodników z całej Polski stanęło na Starcie w Wierzbnie!

Nie trudno było przewidzieć, iż zwycięzcą będzie chlubnie zapisany, światowej miary biegacz z Polonii, Alfred Freyer. 5.700 metrów w 19 minut 12 sekund, to czas godny słynnego Nurmi'ego, szczególniej jeśli zważyć, iż teren był niezwykle ciężki.

2 i 3 miejsca zdobyli Sawaryn (Pogoń) i Jaworski (A. Z. S.).

IGNORANCJA CO NAJMNIEJ GEOGRAFJI.

Pamiętam, że gdy zaryzykowałem w jakiemś sprawozdaniu, iż Francuzi w przeważnej ilości wypadków mało wiedzą o Polsce, ściągnąłem na siebie burzę ze strony kilku Francuzów, zamieszkałych w Warszawie.

Pragnąłbym tym razem, by ci panowie przyłączyli się do protestu przeciw ignorancji. którą z tem większem należy piętnować oburzeniem. iż pochodzi od prasy paryskiej.

Oto bowiem jak brzmi adres na liście, wystosowanym przez dziennik francuski „l'Auto“ do Warszawskiego Towarzystwa Cyklistów:

Monsieur Towarzystwo
Cyklistów
Oboźna Nr. 3. Dynasy
Varsovie Tchécoslovaqnie.

ZAKOŃCZENIE WALK W CYRKU

Ubiegły poniedziałek był ostatnim dniem trwającego od 1 lutego turnieju walk francuskich.

W dniu tym zakończono ostatnie rozgrywki pozostałych atletów, kandydatów do nagród: Sztekkera z Pineckim oraz Bryły z Karschem.

Z walk tych zwycięsko wyszli Sztekker i Bryła.

Po zakończeniu tych dwóch spotkań przystąpiono do rozdania 5-ciu nagród na ogólną sumę 11 i pół tysiąca złotych.

Nagroda pierwsza (4.000 zł.) wraz z tytułem Szampiona Europy na rok 1927 przypadła polskiemu atlecie, najlepiej i najładniej zbudowanemu Sztekkerowi, który w tych dniach opuszcza Warszawę, by następnie znów walczyć w Krakowie, tym razem o złoty pas tego miasta.

M. G.



Wojtuś Zawadzki na przejażdżce.

CENA PRENUMERATY:

Miesięcznie	Zł. 1.—
Kwartalnie	„ 3.—
Półrocznie	„ 6.—
Rocznie	„ 12.—

CENA OGŁOSZEŃ:

Cała strona . .	Zł. 400.—
Pół strony	„ 200.—
Ćwierć strony	„ 125.—
Ósma część strony . . .	„ 70.—

Taryfa zagraniczna 50% drożej.

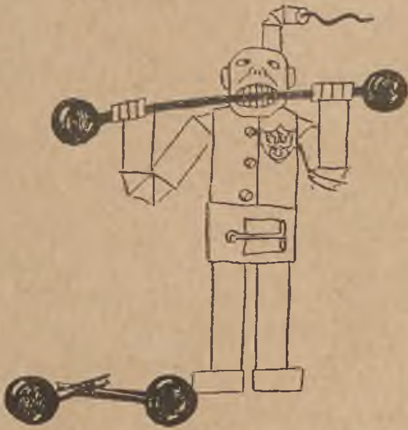
REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
Warszawa Miodowa 5, tel. 28 33 i 2-96
Administracja czynna od godziny 9-ej do 4-ej po połud. Redakcja czynna od 10 do 4jej ppoł. Redaktor przyjmuje od godz. 1-ej do 3-ej popoł. Rękopisów nadesłanych Redakcja nie zwraca
Konto P. K. O. Nr. 14315.

Redaktor i wydawca *Eugenjusz Rafalski*

Zakłady Graficzne „Polska Zjednoczona“, Warszawa, Nowolipie 2.

Ludzie o żelaznej mocy

(Z kajecika małego Kazia)



Słyszał Kazio, że wśród ludzi
człek żelazny podziw budzi,
łamie haki, łamie sztaby,
dać mu tylko do rąk aby...



Przejął się tem Kazia rodzic:
— Mnie też siła nie zawodzi!
I energją nagłą zdjęty,
żelazne gryzł łóżka pręty...



Mamę także coś korciło
żelazną się chwalić siłą —
Kandelaber w zęby chwyta,
zgryzie, złamie go i... kwita!



— I dla mnie żelazo wata!
myśli służąca Agata,
a że była „mocna w gębie"
probuje też coś na zębie.



Nawet Burek, dobra psina,
z żelazem i ten zaczyna —
ślepie mu wściekłością błyska,
nie puszcza łańcucha z pyska.



A jaki był z tego skutek?
Jęki, bóle, łzy i smutek,
bo jedynie pan dentysta
zarobił... rzecz oczywista!